

## Rozmyślania



## Dekady przemian, bez zmian...

*Przeczytałem ostatnio artykuł, w którym autor stwierdził, że ostatnie lata to dla Polski najlepszy okres od ponad trzystu lat. W pewnym sensie trzeba się z tym zgodzić, ale tylko w pewnym sensie...*

**Andrzej Dębowski**

Przemiany rozpoczęte po 1989 roku, a trwające do obecnych lat nie przyniosły co prawda globalnej porażki, ale jest wątpliwe, czy historyczną szansę – daną nam ponad trzydzieści lat temu – wykorzystujemy na miarę możliwości i ambicji. Wielu Polaków nie czerpie satysfakcji z przemian, czego spektakularnym wyrazem jest ciągle przekonanie większości, że w komunizmie żyło im się lepiej.

Dlaczego tak jest? Nie zostały przezwyżnione zasadnicze dysproporcje odziedziczone po komunizmie – raczej nastąpiło ich zaostrenie. W okresie gospodarki socjalistycznej istniało ogromne, nadmierne zatrudnienie. Rynek w ostatnich latach pozbawił tych ludzi pracy, ale ogromnego bezrobocia nie można wyjaśnić po prostu dziwactwem przeszłości. Gdzie np. ochrona rodzimych producentów przed zachodnią penetracją importu.

Rozpowszechnione przekonanie o niesprawiedliwych nierównościach ma też swoje źródło w najnowszej historii politycznej i wynika z przeświadczenia o sojuszu elit komunistycznych i solidarnościowych, które stały się beneficjentami wiel-

kiej przemiany, dokonanej wszak ogromnym wysiłkiem większości społeczeństwa.

Znalazłem ciekawy materiał sprzed kilku lat, w którym na ten temat pisał kilka w „Rzeczpospolitej” Ryszard Bugaj w artykule pt. „Polska po przejściach”: *Być może najbardziej tego spektakularnym przykładem była operacja „uwłaszczenia” przeprowadzona przez środowisko „Gazety Wyborczej”. Redaktorzy uznali, że mogą podzielić między siebie ogromny majątek będący następstwem wielkiego sukcesu osiągniętego przez gazetę, która powstała jednak dzięki zwycięstwu całej antykomunistycznej opozycji. Co więcej, nic nie słycać, by beneficjenci założyli np. fundację działającą na rzecz tych, którzy do sukcesu dawnej opozycji, antykomunistycznej się przyczynili, a dziś są na dnie. Natomiast to „Gazeta Wyborcza” ostro reagowała na projekty ustawodawcze przewidujące skromne materialne rekompensaty dla „szeregowych kombatanów”. Podobny pokaz obłudy dali członkowie EPP domagając się podwyżki swoich bardzo wysokich apanaży i jednocześnie bezustannie nawołując do redukcji socjalnych wydatków państwa. Przykłady można zresztą mnożyć. Poczucie niesprawiedliwości i krzywdy coraz jednak rządnej jest źródłem moralnego potępienia także wśród przegranych. Coraz powszechniejsze zdaje mi się przeświadczenie, że taka jest „natura świata”, że trzeba się pogodzić z jego regułami i w ich ramach walczyć o swoje. Socjologdy dla schyłkowego okresu komunistycznego ukuli określenie „brudna wspólnota”, które wyrażało stan szczególnego moralnego relatywizmu. W nowych formach „brudna wspólnota” znowu się odradza. Storo obłudne, cyniczne i pazerne są elity (obydwie – stara i nowa), to dlatego zwykli ludzie mieliby zachowywać się według zaleceń dekalogu?*

*Tworząca się nowa „brudna wspólnota” wyjaśnia też dobrze powody dwoistego stosunku do etycznych zasad w życiu publicznym. Prawią wszyscy by chcieli, aby były one stosowane, ale prawie wszyscy uznają, że to postulat nierealny. To pewnie dlatego niemal nikomu nie przeszkadza, że Polską na wszystkich właściwie szczeblach rządzą ludzie, którzy w przeszłości wspierali system komunistyczny i byli jego beneficjentami. „Amnestia” obiela nawet najwyższych funkcjonariuszy.*

Polska od początku transformacji jest przeniknięta „kulturą nierówności” i brakuje nam wspólnego etycznego fundamentu. Między rozpowszechnionymi przekonaniem na temat tego, co słuszne, sprawiedliwe i uczciwe, a realnymi regułami życia publicznego, gospodarczego istnieje dramatyczna rozbieżność. U wielu jest ona źródłem wewnętrznego rozdarcia: surowych ocen otaczającego świata i praktycznego stosowania się do realnych reguł we własnym, indywidualnym postępowaniu. Nie może to pozostać bez negatywnego

wpływu na funkcjonowanie podstawowych instytucji życia społecznego: państwa, przedsiębiorstwa, władz lokalnych. Musi być źródłem deficytu społecznej aktywności. W szczególności państwo, postrzegane jest jako byt wyalienowany, eksploatujący obywateli. To także skutek tego, że państwo koncentruje się raczej na organizowaniu indywidualnego wyścigu między obywatelami i wspiera interesy partykularnych grup, niż organizuje zbiorowy wysiłek narodowej wspólnoty i jest organizatorem jej solidarnych zachowań.

System polityczny został zbudowany tak, by ograniczać wpływ wyborców i pozostawić klasie politycznej możliwie szeroką autonomię. Służy temu przede wszystkim zawilość struktur władzy utrudniająca ocenę zachowań aktorów życia politycznego.

Interesy wspólne klasy politycznej są coraz silniejsze, co znajduje spektakularny wyraz w bezustannie postępującej rozbudowie biurokracji państwowo-samorządowej i poszerzaniu materialnych przywilejów klasy politycznej. Ta ostatnia okoliczność ma ogromne znaczenie, bo lokuje ludzi polityki w grupie społecznej o wysokich dochodach, wytwarzając niską wspólnotę interesów.

Autorytet ludzi polityki jest więc bardzo niski, a przekonanie, że ich działania są podporządkowane jakiejś klarownej misji, właściwie nie istnieje. Potwierdzają to zupełnie dowolne wolty polityków i niedotrzymywanie jakichkolwiek zobowiązań wyborczych. Polityczna demokracja staje się – aż strach to powiedzieć – przede wszystkim instrumentem ochrony interesów grup uprzywilejowanych.

Przekształcenia ustrojowe nie uruchomiły w Polsce procesu kumulacji kapitału społecznego, bo w znacznej mierze zderzyły się z tradycją i wartościami cenionymi przez Polaków. Skutkiem jest skrajny brak zaufania pracowników do pracodawców i odwrotnie, nikłe zainteresowanie sprawami publicznymi i śladowa aktywność obywatelska. Niski poziom kapitału społecznego styka się w Polsce z tandetnym rynkiem i niskiej jakości państwem. Ale żeby to zmienić, trzeba temu poświęcić bardzo, bardzo dużo pracy.



Rys. Sławomir Łuczyński